GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 MARCA 1935 R.
NR. 5 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 5

1935 R.

1 — III

ZDARZENIA i POGLĄDY

ROZBIEŻNOŚCI

W momencie, kiedy na łamach prasy fachowej i codziennej, w dyskusjach publicznych i prywatnych, a mówiąc prościej ciągle i wszędzie, usiłuje się ustalić *ogólny kurs naszej polityki gospodarczej w obecnej fazie konjunkturalnej*, „Gospodarka Narodowa" nie zajęła w tej sprawie zbiorowego stanowiska, poświęcając jej niezbyt liczne artykuły indywidualne. Z punktu widzenia zadań pisma gospodarczego jest to luka. Istnienie tej luki stwierdzamy, i jednocześnie pragniemy wyjaśnić.

Mówiąc obrazowo, „Gospodarka" pracuje na falach długich i krótkich, mniej znacznie natomiast „na średniej fali". Dlaczego? Bo na dwóch pierwszych płaszczyznach uzgodnienie, zbliżenie do siebie stanowisk, jest łatwiejsze, na trzeciej natomiast nie okazało się dotychczas możliwe. W zagadnieniach odcinkowych, incydentalnych, tam, gdzie rozważa się, jakie kroki należy poczynić w danej dziedzinie, przy założeniu, że ogólna linja polityki konjunkuralnej jest dana, — taka, a nie inna, — uzgodnienie poglądów osiąga się na drodze przestrzegania czysto formalnych postulatów takich, jak np. postulat wzajemnej zgodności poszczególnych posunięć polityczno - gospodarczych. Na długi dystans fakt olbrzymiego przyrostu naturalnego, któremu nie towarzyszy jako tako współmierny przyrost kapitału, fakt dominujący nad całością naszej struktury, nad całą przyszłością naszej gospodarki — stanowi punkt wyjścia dla konsolidacji poglądów.

Inaczej jest, gdy chodzi o zagadnienie ogólnej polityki gospodarczej w danej fazie konjunkturalnej. Niesposób tu przejść do porządku dziennego nad dziesiątkami problemów, których wiedza gospodarcza nie rozstrzyga jednomyślnie, niespornie, aczkolwiek dla jednostek pewne rozstrzygnięcia mogą się wydawać pozostającemi już poza sporem.

Ostatnie zdobycze nauki o konjunkturze dają podstawę do twierdzenia, że żadna z dawnych teoryj wahań konjunkturalnych, doszukujących się jednej, uniwersalnej przyczyny tych falowań nie jest słuszną. Przyczyn zmian konjunkturalnych jest wiele. Która w danym momencie decyduje, jest w wielu wypadkach trudne do określenia. Zwłaszcza o ile tak, jak w sytuacji polskiej szeregi cyfr, mogące stanowić podstawę obserwacji sięgają zaledwie kilka lat wstecz. W takim razie pogląd na rzeczy, powstaje nietylko w drodze objektywnego przeświadczenia — lecz i subjektywnego wyczucia chwili.

Czy można więc i czy należy przyśpieszać przejście do następnej fazy cyklu konjunkturalnego? Czy w ten sposób nie obciąży się jej zarodkami ponownego załamania? Czy w imię zdrowej, struktury należy prowadzić procesy likwidacyjne do końca? Czy też, przeciwnie, należy uważać w obecnej chwili te procesy za dewastację gospodarki, za dalsze pogorszenie struktury? Czy należy raczej myśleć o stworzeniu warunków, sprzyjających procesom inwestycyjnym i kapitalizacji rze-

czowej, czy też raczej chronić wkładcę, popierać oszczędność pieniężną, dążyć do zwiększenia płynności rynku pieniężnego?... Obok serji pytań: czy *należy*, istnieje równie obfita serja pytań: czy *można*. Pytań jeszcze trudniejszych, bo opartych nie o elementy z zakresu teorji ekonomicznej, lecz o elementy z zakresu „wyczucia", jakie są możliwe reakcje społeczeństwa, które przeszło dwie inflacje i wykazuje dużą nerwowość. Jakie są perspektywy odbudowy kredytu międzynarodowego w świecie, gdzie nikt prawie nie okazał się wypłacalnym?...

Jest zbyt wiele przesłanek, ażeby można było rozwiązać je na podstawie analizy. Analizę taką, ściślej biorąc, może niekiedy przeprowadzić — i przeprowadza — dla siebie jednostka, nie może jej przeprowadzić grupa. Chyba wtedy, kiedy szereg przesłanek jest dany, t. zn. wynika z pewnego generalnego programu społeczno - gospodarczego, albo wtedy, kiedy zamiast tych przesłanek daje się ich namiastkę — grupowy interes. Ten jest wyraźny. I znakomicie ułatwia przejście do porządku dziennego nad wątpliwościami, i rozbieżnościami poglądów teoretycznych.

„Gospodarka Narodowa" nie jest ani jednem, ani drugiem. To znaczy — nie jest ani grupą, związaną całokształtem światopoglądu społeczno - gospodarczego, ani też wyrazicielką interesów grupowych. Dlatego też wśród tych zadań, które usiłujemy wziąć na siebie, nie może się zmieścić zadanie wystąpienia z jednolitym i bardziej rozbudowanym szkicem ogólnej polityki gospodarczej w momencie dzisiejszym. Czytelnicy znajdą omówienie tych zagadnień w artykułach poszczególnych współpracowników naszego pisma, ale stwierdzamy zgóry, że nieuchronne są tu nieraz bardzo poważne rozbieżności.

STEFAN MEYER

DWANAŚCIE KOSZÓW UŁOMKÓW

Jedli wszyscy i najedli się. I zebrali co zbywało ułomków, dwanaście koszów pełnych. Mat. XIV. 20.

Podział dochodu społecznego może być pozostawiony losowi, może być też przez władzę państwową korygowany. Filozof niemiecki J. G. Fichte twierdzi, że celem państwa jest „dać każdemu należne", jest sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego.

W wypadku swobodnego podziału dochodzimy do wielkich fortun i wielkiej nędzy, do Miami na Florydzie i do nor wykolejeńców życiowych w New Yorku lub Chicago, do Bai, Capri i Domus Aurea z jednej, a Subury i buntu niewolników z drugiej strony. Przy korekturze dochodu społecznego możemy te ostre kontrasty łagodzić, możemy też dojść do powszechnej acz nierównej nędzy. Przykład o miedzę.

Korygowanie dochodu społecznego nie jest złem. Złem jest nieumiejętna korektura.

Programowy artykuł Gazety Polskiej z dn. 17.2.35 r. „Krajanie bochenka" nasuwa garść uwag.

Artykuł ten, b. ciekawy, daje dużo do myślenia: Propozycja przerzucenia części obciążenia ze wsi na miasta jest 1-o paljatywem, obliczonym na krótką metę, a nie lekarstwem radykalnem, któreby zainicjowało trwałą poprawę. 2-o nie liczy się ona z zasadą automatycznego wyrównywania rentowności w ramach jednego gospodarczego obszaru, pozostawionego swobodnej grze sił gospodarczych.

Z tezą, że wieś nie może być nadal tak obciążona, jak dotychczas, trzeba się zgodzić. Że obciążenie należy przerzucić na miasto (?). Na to już mniejsza zgoda.

Dlaczego? Bo w miastach też istnieje ten sam proces dekapitalizacji co na wsi. Miasta są także zbankrutowane, tylko autor „Krajania bochenka" pomija ten fakt. Bankructwo i dekapitalizacja gospodarki przemysłowej i gospodarki handlowej odbywa się po innej krzywej, aniżeli dekapitalizacja wsi i uwidacznia się w innej formie.

Że handel polski wyzuty jest z kapitału obrotowego (a kapitał obrotowy jest jedną z dwóch racji istnienia pośrednictwa handlowego), to jest logicznym i naturalnym skutkiem polityki polskiej, opartej o 3 kardynalne poglądy: 1-o o pogląd staroszlachecki, że paranie się handlem ujmę przynosi, że jedyny uczciwy zarobek to uposażenie służbowe, posag lub scheda; per eliminationem więc zarobek inny jest nieuczciwym, 2-o na tradycji socjalistycznej większości naszych działaczy politycznych i na podświadomie przejętem zdaniu Prudhom'a: „la propriété c'est le vol", oraz 3-o na wyrosłej z polskiej nędzy krótkowzrocznej pogoni za pieniądzem, bez względu na to że pieniądz ten, w oczach ulicy narzędzie zaspokojenia konsumcyjnych potrzeb, był w ręku handlu narzędziem produkcji. Był tem, co angielski filozof Dr. Johnson nazywa: „The potentiality of growing rich". Polityka, której wyrazem było utrzymanie podatku obrotowego po zerwaniu z inflacją, została ukoronowana powodzeniem: handel w Polsce bezmała przestał istnieć i musi się regenerować, jak stara tkanka, jak wyssana krew.

Dekapitalizacja w przemyśle daje inny obraz. Tu opłaty od obrotu nie są tak niebezpieczne, jak opłaty od kapitalizacji wewnętrznej. Przemysł traci — początkowo tylko kapitał obrotowy. Zastępu-

je go kredytem. Wierzyciel zabezpiecza się coraz silniej, łudzi się, że hipoteka daje realną pewność, wkońcu staje się sam właścicielem zbankrutowanego warsztatu.

Przemysłowiec stracił substancję. Dla oka ulicy warsztat nadal istnieje. Komin jest nieśmiertelny. Ale nowy właściciel — to wielokrotnie bądź obcy, bądź państwowy kapitał finansowy. — Dyspozycja nie leży już w ręku obywatela-przemysłowca, a w ręku anonima.

Pole klęski polskiego stanu posiadania: Łódź, i mniejsze pobojowiska: w Częstochowie, w Sosnowcu, w Warszawie, niech świadczą o tem, co w ciągu 15 lat przeszło z rąk polskich w obce. A powstałe w międzyczasie nowe placówki są to przeważnie drobne warsztaty, stojące na granicy rzemiosła, które mają utrudniony wzrost 1-o wskutek tekstu polskiej ustawy o podatku dochodowym, która na jednostki gospodarczo czynne, wymagające inwestycji ruchomych i nieruchomych, nakłada ciężary w tej samej skali, co na gospodarczo bierne, konsumujące cały dochód, oraz 2-o wskutek praktyki podatkowej, która każdy gruntowniejszy remont uważa za inwestycję, to jest wzrost majątku, scil. za dochód, podlegający opodatkowaniu. Taka ustawa i taka wykładnia muszą tamować inicjatywę gospodarczą. Są inne, które ją tamują również. Ja sam w ciągu 1933 r. byłem świadkiem inicjatywy gospodarczej, zarzuconej wskutek trudności, wywołanych tekstem polskich ustaw.

Kapitalizacja wewnętrzna w łonie warsztatu w mieście jest bodaj trudniejsza niż na wsi. Dekapitalizacja jest równie szkodliwa, choć vox populi nadaje jej charakter nie klęski, lecz złej woli.

Wieś i miasto! Stara antyteza. Wieś z istoty rzeczy nastrojona fizjokratycznie, widzi w mieście polipa, który z niej żyje. Miasto widzi we wsi teren do eksploatacji. Wieleż razy próbowano ratować wieś przed miastem. A rezultat? Opłakany dla obu stron.

Wieś czy miasto? Na to pytanie odpowiadać nie będę. Odpowie za mnie przyrost naturalny Polski. Odpowie pół miljona polaków, którzy corocznie przybywają. Odpowie parcie na rynek pracy setek tysięcy rąk, których zatrudniać nie może hamowany w rozroście rodzimy kapitał.

„Wieś czy miasto“, oznacza: Trzydzieści, czy czterdzieści miljonów obywateli za lat dziesięć?

Ale, aby ich było 40.000.000 nie trzeba łowić ryb przed niewodem. Nawet gdyby było wszystkiego 2 ryby i 5 chlebów na nakarmienie wielotysięcznej rzeszy.

Nie łowić ryb przed niewodem. Nie podcinać źródeł przyszłego bogactwa dla zaspokojenia potrzeb, może poważnych, ale jakże nad stan zakrojonych. Nie przerzucać obciążenia ze wsi na miasto, ale zniżyć obciążenie tout court. Że ofiarą padną świadczenia socjalne, to nic nowego. Już Komodjusz uznał to za wygodne. Ale to nie wystarczy. Trzeba inne potrzeby też złożyć w ofierze Molochowi, któremu na imię „$2 \times 2 = 4$“.

A może źle zrozumiałem intencje „Krajania bochenka“? Może „wieś“ i „miasto‘ czytać należy nie „warsztat rolny“ i „warsztat produkcji lub wymiany, położony w mieście“, a raczej: „konsument, żyjący na wsi“ i „konsument, żyjący w mieście“? W takim razie głosu mojego nie przeciwstawiłbym „Krajaniu bochenka“, lecz snułbym jego myśli dalej w sposób następujący:

Państwo potrzebne mu sumy pobierać może w różnych fazach procesu gospodarczego. Bądź tam, gdzie dobra powstają, bądź tam, gdzie się je rozdziela, bądź tam, gdzie się je konsumuje.

W której fazie procesu gospodarczego należy w sytuacji gospodarczej Polski pobierać gros podatków?

Pobieranie u producentów jest tanie. Warsztatów produkcji jest zawsze mniej, aniżeli konsumentów.

Pobieranie przy wymianie jest wydajne. Im bardziej rozwinięty aparat gospodarczy, tem dłuższy bieg towaru od źródeł surowca do konsumenta.

Pobieranie przy konsumpcji najmniej obciąża aparat gospodarczy narodu i najmniej wpływa na wzrost cen detalicznych.

Pobieranie od ogółu obywateli, tylko od ich dochodu, jest najsprawiedliwsze.

Ale:

Podatki, obciążające produkcję względnie warsztat, podrażają produkt. Jeżeli prowadzimy politykę deflacyjną i dbamy o taniość produkcji w nadziei zwycięstwa w międzynarodowej konkurencji, to nie obciążajmy warsztatów. —

Ani wymiany wewnętrznej.

Podatki konsumpcyjne, o ile wysokość ich jest nadmierna, wywołują próby obejścia, lub łamania ustawy. Dlatego też nie mogą być zbyt duże na jednym artykule. Muszą obciążać równomiernie wszelkie produkty konsumowane w kraju i szereg usług. Dlaczego nie wszystkie usługi? Bo są usługi, np. komunikacja, których cena wpływa na ceny towarów, mających konkurować z zagranicą.

Podatek dochodowy wreszcie — o ile jest pobierany od warsztatu zadłużonego, niepłynnego, słowem nierozbudowanego w należyty sposób, zwalnia tempo tej rozbudowy, a więc zmniejsza konkurencyjność gospodarstwa narodowego.

Faza, w której pobieramy podatki, nie wpływa na maximum obciążenia, które gospodarstwo narodowe znieść może. Ale wpływa na rozrost lub zamieranie aparatu. Na wielkość następnego bochenka wpływa nietyle podział, poprzedniego, co ilość tranzakcji dokonana przed podziałem i faza gospodarcza poboru podatku. Dlatego:

W kraju ubogim w kapitały płynne nie należy niczem tamować wymiany, ani wzrostu kapitałów, zatrudnionych przy produkcji i przy wymianie. Prawdziwe bogactwo, to możność dysponowania cudzą pracą (A. Smith) oraz towary i usługi. A więc: tania robocizna, tanie towary, tanie usługi.

Podatki należy pobierać od tych, co najwięcej... nie „posiadają“ — bo tylko „posiadając“, można z głodu umrzeć, — nie „mają największy dochód“, bo należy popierać dochód i zarobek obywatela, aby ten dorobek mógł upłynnić gospodar-

stwo ogółu, — nie „którzy najwięcej zdziałają posiadanem narzędziem“, albowiem nagradzać — nie karać należy dzielność. Podatki należy pobierać od tych, którzy „najwięcej dla siebie zużywają“.

Podatki konsumpcyjne powinny być podstawą finansów państw ubogich.

Jeżeli rzeczywiście wieś zubożała więcej, a miasta mniej, to i konsumpcja wsi spada prędzej, więc i podatki konsumpcyjne mniej obciążać będą wsie. Zmiana stosunków gospodarczych automatycznie przerzuci obciążenie na korzystniej sytuowanych. Nie będzie trzeba z opóźnieniem korygować nowych obciążeń podatkowych, bo podatek sam pogoni za wzbogaconym, żarłoczniejszym konsumentem.

A kapitał, którego obieg i przyrost nie będą hamowane, sprawi, że przy podziale następnego bochenka, szafarzowi bogactwa narodu pozostanie dwanaście koszy ułomków.

Polski system podatkowy wymaga gruntownej reformy. Poprzedzić ją musi publiczna dyskusja zagadnienia, która sprawę oświetli z punktu widzenia:

1-o Wydajności dla państwa,
2-o rentowności dla gospodarstwa.
3-o stosunków z zagranicą,
4-o wygody podatnika.

UWAGI

PODATEK GRUNTOWY

Przyczyny, z racji których zabrano się do reformy podatku gruntowego, są całkiem zwykłe i proste. Niezwykłe natomiast i bardzo złożone jest tło, na którem przebiega dziś proces przebudowy tego podatku. Przyczyny — to jak wiadomo, brak jednolitej polskiej ustawy i jawna wadliwość dotychczasowej klasyfikacji gruntów, skutkiem czego ciężar opodatkowania dla rejonów i gospodarstw o identycznych lub zbliżonych warunkach był niezmiernie różnorodny. A teraz tło: Generalnie biorąc tłem jest pogłębiająca się, acz wciąż jeszcze niedostateczna znajomość interesów gospodarczych wsi. Właśnie w tej dziedzinie ostatnie lata, a nawet miesiąc uświadomiły opinji szereg ciemnych dotychczas, lub niedocenianych momentów. Przez długi czas realnym wyrazem „kursu na rolnictwo“ była wyłącznie niemal jednostronna i mało efektywna polityka sztucznego podnoszenia cen zboża, przedewszystkiem żyta, poprzez premjowanie wywozu i akcję interwencyjną. Z kolei uświadomiono sobie znaczenie sprawy zadłużenia wsi. Wreszcie — na łamach Gospodarki Narodowej od dawna, na szerszym terenie od niedawna — położono silny akcent na kwestje podatkowe. Nie wszystko jest jednak jeszcze dostatecznie wyjaśnione i dostatecznie spopularyzowane w tej dziedzinie. Czeka na swą kolejkę taka anomalja, jak podatek wyrównawczy, jedyny chyba podatek, oparty — w praktyce — o zasadę iż wysokość opodatkowania jest tem większa, im biedniejsza jest opodatkowana gmina.*) W świetny sposób natomiast zilustrowano sztywność obciążenia podatkowego wsi, podczas kiedy bądź co bądź podatki miasta oparte są o zmienną podstawę wymiarową.

Jeszcze skuteczniej rozprawiono się — piórem p. M. Jaroszyńskiego — z przesądem, że obciążenie podatkowe wsi jest równie skromne, jak jej udział w dochodach podatkowych Państwa. Rozprawiono się przez wyjaśnienie, iż punkt ciężkości leży tu przedewszystkiem w opłatach na rzecz samorządu, opłatach niezmiernie „urozmaiconych“ i niejednokrotnie ukrytych w budżetach gmin *miejskich* (opłaty targowe i ubojowe).

Z tych względów, jak również ze względu na to, że podatek gruntowy stanowi podstawę wymiaru podatków samorządowych, pobieranych od wsi, reforma podatku gruntowego staje się, niezależnie od dotychczasowych intencyj i dalszych zamierzeń projektodawców, punktem wyjścia dla przebudowy całego systemu opodatkowania wsi. Oczywiście wysokość podatku gruntowego nie decyduje o wysokości innych podatków, pobieranych od rolnictwa, a tem samem o *wysokości* całokształtu opodatkowania wsi. Natomiast *sposób rozłożenia* ciężaru opodatkowania wsi na poszczególne kategorje gospodarzy wiejskich jest niemal całkowicie uzależniony od sposobu rozłożenia podatku gruntowego. Korektywa, i to połowiczna, istnieje tylko w stosunku do gospodarstw, opłacających podatek dochodowy w większych sumach a więc w stosunku do wielkiej własności. W obecnych warunkach zatem, kiedy — chcemy czy nie chcemy — stoimy w przededniu przebudowy systemu opodatkowania wsi, reforma podatku gruntowego stwarza siatkę rozkładu na poszczególne kategorje gospodarstw całego prawie ciężaru opodatkowania, który wynika z dalszych posunięć w tej dziedzinie. Waga tego momentu jest tem większa, że zalety nowego projektu, a mianowicie zróżniczkowana i skrupulatnie przemyślana klasyfikacja gruntów, oraz wprowadzenie w postaci pojęcia „okręgów ekonomicznych“ korektywy geograficznej do zbyt w zasadzie schematycznego systemu gwarantują „długowieczność“ nowej ustawie.

Niestety jednak, pod kątem rozkładu podatku na poszczególne kategorje własności, projekt ustawy nasuwa wątpliwości, czy nie grozi nam to, iż

---

*) Im mniejsza jest zamożność gminy, tem mniejsze są normalne dochody podatkowe, a ponieważ gmina nie redukuje odpowiednio swoich wydatków, więc też przy mniejszych dochodach normalnych, odpowiednio podwyższa kwotę podatku wyrównawczego, który sięgnąć może do 150% podatku gruntowego.

przy rewidowaniu wadliwych przepisów dotychczasowych, poprawiając jedno, pogorszymy drugie. Mam na myśli zamiar zniesienia degresji w podatku gruntowym, a ściślej biorąc, ograniczenia ulgowych stawek do kategorji jedynie najdrobniejszych płatników, o wymiarze poniżej 10 złotych rocznie. Przy tych stawkach, jakie przewiduje ustawa, w niektórych wypadkach powyżej tej normy znajdą się już gospodarstwa *półhektarowe*. Równa się to prawie że praktycznemu zniesieniu degresji.

Zniesienie *degresji* jest niesłuszne. Słuszne jest zniesienie *progresji*. Opinja bardzo często identyfikuje te dwie rzeczy, przyczem bodajże na losach degresji zaciążyła niepopularność progresji. Podwyższenie progresywne wymiaru podatku dla większych płatników niema uzasadnienia, natomiast obniżenie wymiaru dla podatników małych i dalej jeszcze idące dla najmniejszych, t. zn. degresja, ma. Na czem polega różnica? Na tem, że opodatkowanie większej własności, t. zn. tej kategorji, której dotyczyła progresja, składa się z dwóch elementów (z podatku gruntowego i dochodowego), natomiast małych płatników z jednego tylko — z podatku gruntowego, gdyż dochód tej kategorji płatników jest poniżej minimum, objętego podatkiem dochodowym.

Współczesna teorja podatkowa uznaje za ideał teoretyczny opodatkowania podatek dochodowy, wymierzany progresywnie. Wychodzi się tu z założenia, że przy wyższej stopie dochodu ciężar wyższego nawet procentowo opodatkowania jest dla płatnika lżejszy, że podatnik na rzecz skarbu zrzeka się w miarę wzrostu jego dochodu, coraz mniej istotnych, coraz mniej niezbędnych potrzeb. Oczywiście stopa opodatkowania, a więc stosunek procentowy opodatkowania do dochodu, a nietylko absolutna cyfra płaconych podatków, nie może wzrastać zbyt gwałtownie, progresja nie może być zbyt silna, ażeby nie został zatracony bodziec do zwiększenia dochodu, nie mówiąc już o groźbie wyjścia poza dochód podatnika i sięgnięcia do jego substancji majątkowej. Praktyka podatkowa jednak musi brać pod uwagę jeszcze drugi wzgląd, wygodę podatku, jego łatwą ściągalność. Podatek gruntowy jest podatkiem dalekim od ideału sprawiedliwości podatkowej, ale zato niezmiernie wygodnym i praktycznym. Wpływa dobrze, podatnik jest do niego przyzwyczajony, rozumie go. Niema wielkich sporów o jego wymiar. Słowem przemawiają za nim liczne względy wygody technicznej, natomiast jest on sztywny, niezależny od wahań konjunkturalnych i, pomimo zamierzonej korektywy w postaci okręgów ekonomicznych, niedostosowany do wahań dochodowości gospodarstwa. Dlatego podatek ten, dobry jako jeden z wielu, staje się uciążliwy jako jedyny. A jedynym jest wtedy, kiedy obciąża gospodarstwa o tak małej dochodowości, że nic z nich już poza podatkiem gruntowym ściągać nie można.

Wielka własność obciążona była dotychczas progresją podwójną: w podatku dochodowym i w podatku gruntowym. Wiemy z praktyki, że było to przesadne, że podatek gruntowy został w ten sposób użyty do celu, który można i należy realizować inną drogą. Natomiast stan, który stworzy nowa ustawa, będzie w odniesieniu do wielkiej własności prawidłowy: progresja w podatku dochodowym dostosowywać będzie obciążenie podatkowe do możliwości płatniczych podatnika. Bez uciekania się do progresji w podatku gruntowym, dzięki istnieniu dwóch podatków, krzywa obciążenia podatkowego *procentowego* w stosunku do dochodu większej własności, a więc tych, którzy opłacają podatek dochodowy, będzie logiczna, obniżając się w miarę, im mniejszy jest dochód. Natomiast logika ta ustaje z chwilą, kiedy przechodzimy do rolników, których dochód jest zbyt mały, ażeby podlegać podatkowi dochodowemu — z chwilą, kiedy podatek gruntowy staje się podatkiem jedynym. Z tą chwilą krzywa przestaje zniżkować, gdyż podatek gruntowy jest podstawą *wyłączną*, a na to jest on zbyt schematyczny — o ile nie zostanie w nim zastosowana degresja. To też tylko degresja podatku gruntowego może uratować logikę. Chodzi zresztą oczywiście nie o zapewnienie tryumfu czystej logice, chodzi o istotne życiowe interesy.

Poza nieliczną kategorją, zwolnionych na podstawie artykułu 3-go nowego projektu, podatek gruntowy obejmie wszystkich rolników, w tym rzędzie cały szereg gospodarstw drobnorolnych, o niezmiernie niskim poziomie dochodu i niezmiernie niskiej stopie życia. Olbrzymi odsetek tych gospodarstw nie przekracza tego poziomu dochodu, który w stosunkach miejskich, w odniesieniu do pracowników najemnych, *wogóle* opodatkowaniu nie podlega, (jeśli idzie n. p. o pracowników najemnych). Logicznie biorąc, należałoby się domagać tu już nie ulg, lecz wogóle zwolnienia z podatku. Tu jednak musi być wzięty pod uwagę nietylko doraźny interes skarbowy, który dziś specjalnie trudnem czyniłby zwolnienia na tak wielką skalę, ale i stale działający moment wspomnianej wyżej wygody technicznej podatku gruntowego. Natomiast bezwzględnie do tego podatku powinna być wniesiona *korektywa wdół* w postaci utrzymania degresji. Więcej nawet, jeśli degresja nie ma być półśrodkiem, jeśli istotnie mamy odciążyć podatkowo tych, których obciąża się raczej ze względów na wygodę, na łatwość techniczną ściągania, niż ze względu na ich dochody, to należałoby degresję rozciągnąć nietylko na państwowy podatek gruntowy, ale i na wszelkie obciążenia samorządowe. Dotychczasowy stan rzeczy, przy którym degresja rozciągała się tylko na podatek państwowy, a wymiar podatków samorządowych opierał się o wymiar podatków gruntowych bez degresji, był niedoskonały. Należałoby ten stan rzeczy udoskonalić, a nie usuwać to, co było niedostateczne może, lecz słuszne.

Łatwa ściągalność podatku gruntowego, widoczna zarówno ze statystyki skarbowej, jak i z powszechnie potwierdzanej obserwacji, „że chłop płaci podatek gruntowy chętnie i dobrze, nie dowodzi jeszcze, (jak to się nieraz słyszy), niewiel-

kiej wagi zagadnienia podatku gruntowego dla małej własności. Przedewszystkiem, mówiąc o degresji, miałem na uwadze również *opłaty samorządowe*, które znacznie zwiększają kwotę obciążenia, a wpływają gorzej, płacone są mniej chętnie. Po drugie, łatwość ściągania podatku tego typu, co gruntowy, a więc podatku, „wspieranego“ przez momenty psychologiczne, nie dowodzi jeszcze, że nie jest on uciążliwy. A wreszcie trzeci, najważniejszy moment. Wydatki produkcyjne w gospodarstwie drobnorolnem spadły dziś do minimum. Jeśli pominąć spłatę długów (oddłużenie), zarobione pieniądze przeznacza się niemal wyłącznie bądź na spożycie osobiste, bądź na podatki komunalne. W przeciwieństwie do tego, co widzimy w gospodarstwie wielkiem, wydatki na spożycie osobiste są pozycją współmierną do danin publicznych i przerastającą znacznie wydatki produkcyjne. W tych warunkach zdobywanie pieniędzy na podatki odbywa się w drobnej własności wyłącznie kosztem kurczenia konsumcji osobistej. A to jest najłatwiejsze, chociaż najboleśniejsze. Z tej bolesnej łatwości zaciskania głodowego pasa korzystać nie można.

I jeszcze jedno. Co innego jest degresji *nie wprowadzić*, co innego — *znieść*. Dotychczas degresja była. Do zasadniczego wymiaru dochodziła suma progresywnych podwyżek, a odpadała suma degresyjnych zniżek. Przy zniesieniu degresji i progresji, o ile nie spadnie ogólny wymiar, łatwo spotkać się będzie z twierdzeniem, że ciężar opodatkowania wielkich podatników przerzucony został na małych. W tej płaszczyźnie sprawa degresji staje się już zagadnieniem politycznem.

c. k.

ŻARTY I PRAWDA

Nie należę do tych kilku, maximum kilkunastu osób, które dokładniej ogarniają całokształt naszego systemu regulowania przywozu z zagranicy. Tem samem rachunek sumienia, który chcę przeprowadzić niżej, będzie nietylko krótki, ale i bezwątpienia niekompletny. Żądnych wiedzy odsyłam do taryfy celnej, dziennika ustaw, zbioru przepisów, dotyczących regulowania przywozu i wywozu, wydanego (jako publikacja nieurzędowa) przez Izbę Przemysłowo - Handlową w Warszawie — ostrzegam jednak, na zasadzie doświadczeń własnych i cudzych, że przestudjowanie wszystkich drukowanych źródeł nie jest równoznaczne z zapoznaniem się ze wszystkiemi przepisami i normami. W przeciwieństwie do beczki Danaid, której z braku dna nigdy nie dawało się napełnić, tej beczki — beczki przepisów przywozowo - wywozowych — nie daje się opróżnić, nie daje się sięgnąć do jej dna. Zawsze jeszcze znajdzie się jakiś przepis dodatkowy, jakaś specjalna norma. Zresztą zawsze zachodzi niebezpieczeństwo, że przez czas studjowania istniejących przepisów nastąpi ich zmiana i że zapoznamy się z materjałem o historycznem, a nie praktycznem znaczeniu. Tak jest już od dłuższego czasu, od kilku lat, i tak będzie, pomimo „najlepszej woli“ ze strony kompetentnych czynników, które, zwłaszcza ostatnio, wyraźnie dążą do wniesienia jasności w dziedzinę, która koniec końców zawsze pozostanie jednak niejasna. To „zawsze“ jest oczywiście względne. Zawsze — oznacza w danym wypadku: dopóty, dopóki nasza polityka importowo - eksportowa opierać się będzie o zasadę działania drogą przepisów i — jednocześnie — zachowania wolnej ręki. Od działania drogą przepisów (słowo to pojmuję jak najszerzej, w przeciwstawieniu do przejęcia tranzakcyj na rachunek Państwa) odstąpić nie możemy dopóty, dopóki nie mamy państwowego handlu zagranicznego, a raczej póki mamy go tylko w małej skali (PZPZ). Od zasady wolnej ręki nie odstąpimy póty, póki trzyma się jej... prawie cały świat.

Przystępuję do rachunku sumienia. Mamy cła autonomiczne i cła „bojowe“. Podobno potrzebne byłyby nam jeszcze cła anty - dumpingowe. Mamy cła preferencyjne, mamy zniżki konwencyjne, zniżki taryfowe i autonomiczne. Mamy stawki lądowe i stawki morskie. Mamy stawki sezonowe, mamy stawki uzależnione od specjalnych warunków, jak np. skażanie. Mamy rozbudowaną taryfę celną, rozbitą na wielką ilość pozycyj, ale i w tych pozycjach czynimy wyodrębnienia, stosujemy ex pozycje, jak się to mówi technicznie. Mamy zwroty cła, premje z funduszów specjalnych i premje kompensacyjne. Mamy zakazy przywozu stałe i czasowe, ogólne i częściowe. Mamy system kompensacyjny, który dwa lata temu zasłużył sobie na nazwę „trzydzieści sześć sposobów stosunków handlowych z zagranicą“, a dziś podrósłszy, urozmaicił się jeszcze bardziej. Mamy wiązanie importu nietylko z eksportem, ale i z zakupami wewnątrz kraju. Mamy towarzystwa importowe o uprawnieniach monopolowych w pewnej dziedzinie, albo poprostu uprzywilejowane towarzystwa importowe. Mamy... czegóż nie mamy? *Mamy wszelkie niewygody monopolu handlu zagranicznego.*

Tak jest. Mamy tę sztywność, tę nieelastyczność, jaka cechuje handel monopolowy. Polski konsument nie może kupić towaru w tym kraju, gdzie jest on tani, bo akurat z tego kraju kontyngent jest wyczerpany. Polski konsument nie może kupić towaru, który mu jest potrzebny, musi kupować droższy zastępczy, bo akurat idzie bój traktatowy o przehandlowanie zniżki czy kontyngentu na ten właśnie towar. (Pamiętajmy, że bój traktatowy w dzisiejszych czasach nie ustaje). Polski konsument nie może wykorzystać chwilowej konjunktury, bo akurat podział kontyngentów został odroczony. Itd. itd. Z drugiej strony mamy dowolność działania, charakterystyczną — dla monopolu. Poza związaniami traktatowemi, które też w dzisiejszych czasach nie są z zakazanej do przywozu manilli, ani z premjowanego lnu, lecz raczej z pajęczyny, wszystko, wszystkie normy, wszystkie przepisy, jeśli się chce, jeśli się sprawę „uzgodni“ (to ohydne słowo nie jest niestety zakazane) — dają się zmienić bez większych przeszkód formalnoprawnych. Ale do czego prowadzą te nie nowe skargi liberała? Do niczego. Istniejący stan rzeczy jest może czasem wynikiem nadmiernej gorliwości

urzędników, jest może czasem przejaskrawieniem nieuchronnego interwencjonizmu. Ale to są wypadki, rzadkie, i pozbawione większego znaczenia. Sedno sprawy tkwi w tem, że tak, narazie, dzisiaj; być musi. W porównaniu z takiemi Włochami, które od jednego zamachu zakazały przywóz 1500 towarów, w porównaniu z krajami o reglamentacji dewizowej, gdzie wolny obrót zagraniczny został wogóle sprowadzony do zera, mamy w Polsce nawet z punktu widzenia firmy zawodowo trudniącej się importem — sielankę. Dopóki nie powieje nowy duch w świecie (czy powieje?) będziemy szli raczej w dotychczasowym kierunku, aniżeli cofali się ku liberalizmowi. Przykre to, ale trudno. Tem nie mniej jednak faktem jest, że wszelkie *niewygody* monopolu handlu zagranicznego już mamy.

Nie mamy natomiast *korzyści* monopolu handlu zagranicznego, bo monopolu handlu niema. Jak można grać przy pomocy monopolu importowego, przekonać się można na przykładzie ZSRR. O ileż więcej dla kontrahenta warte jest zobowiązanie zakupu przez monopol określonego quantum towaru, aniżeli taki sam kontygent, który koniec końców będzie nawet ostatecznie wykonany. Z ilu krępujących związań można się na tej drodze wywikłać. A przedewszystkiem — i to jest ważne — w kraju niewielu, ale zato stałych złotówek, — na drodze monopolu handlu zagranicznego dają się, jakeśmy to widzieli, osiągnąć pozorne niemożliwości w dziedzinie kredytu towarowego. Nawet na artykuły giełdowe, nawet na surowce, nawet na kauczuk i bawełnę można mieć kredyt. A jak się raz dostanie kredyt, to potem się dostaje kredyt na jego spłatę. Tych korzyści nasz system reglamentacji przywozu nie daje.

Czy to są żarty? Ponure żarty na dodatek? Narazie tak. Jutro — nie wiadomo. W tej chwili przywóz towarów objętych zakazami stanowi 50 proc. naszego importu. Dodajmy do tego jeszcze pewien procent przywozu reglamentowanego w innej drodze, pośrednio, i uwzględnijmy fakt, że przecież przywóz towarów zakazanych ulega zmniejszeniu nietylko z racji zwężenia pojemności rynku polskiego, jak to ma miejsce z towarami nie zakazanemi. Okaże się wtedy, że większa część tego, co nazwalibyśmy naszym normalnym, naturalnym importem, jest reglamentacją objęta. Jeżeli pójdziemy dalej, (a prawdopodobnie pójdziemy), jeżeli nasz system będzie się dalej komplikował, (prawdopodobnie będzie musiał), jeżeli będzie nadal ciężko z dopływem kapitału i aktywizacją bilansu, a nie będziemy chcieli zaprowadzać ograniczeń dewizowych — żarty mogą się okazać rzeczywistością. Czy należałoby sobie tego życzyć? To chyba nie. Czy należy się z tem liczyć? W każdym razie nie napewno. Ale też faktem jest, że monopol importu nie zmieniłby stanu rzeczy tak bardzo, — jeśli chodzi o wynikające stąd ciężary — jakto się zdaje na pozór. Korzyści natomiast byłyby niewątpliwe. Stratą byłoby głównie naruszenie „pryncypjów". Wbrew temu, co się sądzi naogół, nie jest to mała strata.

c. b.

DYSKUSJA UBEZPIECZENIOWA

PRZYSZŁE POTRZEBY UBEZPIECZEŃ

Jednem z naczelnych haseł, wokół których grupuje się krytyka ubezpieczeń społecznych jest osiągnięcie drogą obniżenia kosztów produkcji i zwiększenia zdolności konkurencyjnej polskiej wytwórczości — zwiększenia produkcji i zwiększenia stanu zatrudnienia. Według tego poglądu robotnik bezrobotny lub zagrożony bezrobociem chętnie zgodzi się na ograniczenie wszelkich „zdobyczy socjalnych" wzamian za pewność stałego zatrudnienia. Przyjmując nawet za pewne, że istotnie tą drogą wzrost stanu zatrudnienia byłby osiągnięty, (musimy zauważyć, że pewność zatrudnienia mogłaby równoważyć ograniczenie świadczeń tylko tych działów ubezpieczenia, z których korzysta pracownik w okresie przynależenia do warstwy czynnych zawodowo, a więc ubezpieczenia na wypadek choroby i bezrobocia, częściowo i ubezpieczenia wypadkowego). Natomiast zwiększenie zatrudnienia w niczem nie ułatwia sprawy zabezpieczenia na starość, na wypadek inwalidztwa i śmierci.

Przyjmując, że zwiększenie produkcji i stanu zatrudnienia musi być uwarunkowane zabezpieczeniem rentowności według klasycznych zasad ekonomji liberalnej (obniżenie kosztów własnych, obniżenie cen), musimy przyjąć i istnienie prądów racjonalizacji pracy, prowadzących nieuchronnie do skrócenia okresu aktywności zawodowej. Jednoczesny rozwój medycyny społecznej prowadzi do zmniejszenia śmiertelności i przedłużenia życia, medycyna jednak nie może zapewnić odpowiedniego przedłużenia okresu wymaganej maksymalnej sprawności fizjologicznej. W rezultacie obu tych procesów obserwujemy we wszystkich krajach Europy stałe zwiększanie się odsetka ludności zawodowo nieczynnej — jest to bodaj najcharakterystyczniejsze zjawisko demograficzne doby obecnej, wskutek zaś jednoczesnej tendencji zniżkowej liczby urodzin może się ono jeszcze pogłębić.

Pod adresem ubezpieczeń emerytalnych mających odpowiedzieć tym rosnącym potrzebom, formułowane są przez krytyków dwa konkretne postulaty: dalej idący — wstrzymania na czas depresji gospodarczej tworzenia rezerw kapitałowych i odpowiednie obniżenie składki, drugi — ostrożniejszy — wyrzeczenia się na dłuższy okres czasu wszelkiej rozbudowy. Ponieważ „rozbudowa" ubezpieczeń emerytalnych, nawet o ile polega na szerszem realizowaniu zasady powszechności, ma zwykle na celu zwiększenie zabezpieczenia przyszłych świadczeń, możnaby przyjąć, że choć

w nierównej mierze — wszyscy zwolennicy odciążenia życia gospodarczego uważają za dopuszczalne nieuzyskiwanie w pewnych okresach pełnych rezerw kapitałowych dostatecznych dla zapewnienia przyszłych świadczeń dla obecnego pokolenia. Oczywiście tem samem przyjmuje się za możliwe przerzucenie tego ciężaru na pokolenia przyszłe, które z konieczności cały swój wysiłek finansowy będą musiały przeznaczać na wyrównanie deficytów w pokryciu świadczeń już płaconych, rezygnując ze zbierania rezerw dla siebie. Trzeba tu zaznaczyć, że lokaty funduszów ubezpieczeniowych w sposób, nie zapewniający natychmiastowego zainwestowania ulokowanych sum, a raczej stanowiące długoterminowe pożyczki dla wyrównania bieżących deficytów budżetów publicznych, oddziaływują wprawdzie korzystnie na upłynnienie rynku, są jednak w istocie równoznaczne z czasowem zaniechaniem procesu tworzenia rezerw kapitałowych przez zmniejszenie składki i stanowią analogiczne przerzucenie ciężarów na przyszłe pokolenie.

Zjawiska te nie są bynajmniej tylko tworem wyobraźni, przeciwnie są one główną treścią ewolucji ubezpieczeń długoterminowych w okresie podewaluacyjnym. Jednym z celów ustawy scaleniowej była konieczność pokrycia w przyszłej składce deficytów ubezpieczenia inwalidowego i wypadkowego w województwach zachodnich i ubezpieczenia brackiego górników w Małopolsce. Dzieło to jeszcze nie jest zakończone. Stoimy w tej chwili wobec deficytu w ubezpieczeniu górniczem w dalszych dwu zagłębiach: śląskiem i dąbrowskiem. Sytuacja ubezpieczenia inwalidowego na G. Śląsku może też budzić obawy. Jeżeli w najbliższym czasie okażą się braki w ubezpieczeniu pracowników umysłowych — które przed 7 laty przejęło deficyty b. instytucyj dzielnicowych, to i tu powstanie konieczności przeznaczenia części przyszłej składki na pokrycie tego deficytu — z równoczesnem zapewne obniżeniem świadczeń. Jeżeli bowiem z początku okresu podewaluacyjnego przy rosnącej liczbie ubezpieczonych, zwyżkowej tendencji zarobków i małej stosunkowo liczbie świadczeń płynnych przejmowane deficyty nie wyglądały groźnie i nie powodowały obniżania świadczeń, to obecna sytuacja uległa gruntownej zmianie. Biorąc jeszcze pod uwagę momenty psychologiczne, każące zawsze w większej mierze chronić nabyte już prawa starców i inwalidów niż będące dopiero w toku nabywania prawa czynnej generacji, możemy z wielkiem prawdopodobieństwem oczekiwać stałego pogarszania poziomu świadczeń ubezpieczeń rentowych aż do momentu, w którym stracą one swą wartość istotną tak dla pracownika jako zabezpieczenie bytu jak i dla życia gospodarczego jako rozszerzenie grona czystych konsumentów, i w którym zrezygnowanie z tej „zdobyczy socjalnej" będzie istotnie ułatwione.

Wspomniałem już wyżej o deficytach w ubezpieczeniach brackich górników. W obrębie zamkniętych grup zawadowo-społecznych, związanych z przemysłem, w którym racjonalizacja pracy została dość wcześnie i jednolicie przeprowadzona, zjawisko zachwiania równowagi między grupami ludności czynnej i nieczynej zawodowo występuje szybciej i wyraziściej, niż dla ogółu klasy robotniczej. Zmniejszanie liczebności załóg rozpoczęło się w górnictwie węglowem jeszcze przed okresem depresji, w okresie zaś kurczenia produkcji wyprzedzało stale spadek wydobycia. Nazywa się to zwiększeniem wydajności robotnika i może nawet służyć jako źródło optymizmu. W tym samym czasie następowało zwiększenie ogólnej sumy kapitałów zainwestowanych w górnictwie (mowa tu nietylko o stosunkach naszych lecz i o zagranicznych, szczególnie niemieckich), następowało zwiększenie udziału kosztów obsługi kapitału w kosztach produkcji. Jednocześnie liczba pobierających renty zaczyna dorównywać liczbie pracujących, powodując deficyt, zwiększenie składek, obniżanie świadczeń.

Wprawdzie ubezpieczenia górnicze posiadały przed okresem depresji rezerwy kapitałowe, jednak te kapitały nie brały udziału we wspomnianych inwestycjach i nie partycypowały w przypadającej na kapitał części dochodu. Normy prawne, powszechnie regulujące zasady lokat funduszów publicznych, nie dozwalają bezpośredniej lokaty rezerw ubezpieczeniowych w środkach produkcji przemysłowej. Normy te — trzeba przyznać — są w zgodzie z opinją ogólną, nawet z opinją samych „ubezpieczeniowców". Z tej strony rola kapitałów ubezpieczeniowych jako podstawy kapitałowej polityki kredytów długoterminowych, jako źródła akcji inwestycyjnej o charakterze publicznym — szczególnie w okresie kryzysu — była wielokrotnie podkreślana.

Według L. Landaua ponad 60% kapitałów polskich ubezpieczeń społecznych ulokowane zostało w budownictwie nieprzemysłowem i w inwestycjach komunalnych, a więc w inwestycjach o charakterze konsumpcyjnym lub półkonsumpcyjnym. Oprocentowanie tych lokat obciążać będzie w przyszłości bezpośrednio konsumenta, kapitały ubezpieczeniowe, o ile nie są pośrednio podstawą kredytów budowlano - mieszkaniowych, służą na finasowanie budowy szkół, szpitali, dróg; urządzeń sanitarnych. Już gazownie i elektrownie, mogące zapewniać rentowność, wygospodarowywaną w sposób przemysłowy, są dla kapitałów społecznych niedostępne.

Jeżeli poprzednio mówiliśmy o znaczeniu uzyskiwania pełnych rezerw, to musimy zaznaczyć, że rezerwy polskich ubezpieczeń długoterminowych, o ile te nie mają stać się deficytowemi sięgać muszą sum nader znacznych, kilko - a może nawet kilkunastomiljardowych. Nasuwa się pytanie, czy ulokowanie takich sum w lokatach o wyżej omówionym charakterze, z dalszem wykluczaniem lokat w środkach produkcji przemysłowej, jest wogóle możliwe.

Konieczność posiadania funduszów rezerwowych przez ubezpieczenia kapitalizujące (tj. wszystkie ubezpieczenia rentowe) jest traktowana wsty-

dliwie. Wydaje się, że samo przeznaczenie tych funduszów nie usprawiedliwia dostatecznie ich istnienia, muszą się legitymować służbą celom obcym; publicznej akcji kredytowej i inwestycyjnej lub też potrzebom ludności ubezpieczonej (np. akcja budowlana).

Zrównanie praw kapitałów społecznych z prawami kapitału prywatnego wydawać się może atakiem na same podstawy ustroju obecnego. Że istotnie ograniczenie przywilejów i wyłączności kapitału prywatnego i dopuszczenie kapitału społecznego do współudziału we władaniu środkami produkcji jest misją dziejową ubezpieczeń społecznych, których pełny i bezpieczny rozwój niezbyt zdaje się godzić z zachowaniem nietkniętych wszystkich założeń ustroju liberalnego.

Kwestja kierunku polityki lokacyjnej z konieczności staje się coraz wyraźniej centralnem zagadnieniem wszelkich reform w zakresie ubezpieczeń, ważniejszem od kwestji zakresu i organizacji ubezpieczenia chorobowego lub na wypadek bezrobocia. Zagadnienie autonomji polityki lokacyjnej ubezpieczeń nie będze mogło być pomyślnie rozwiązane, jak długo nie zostaną rozluźnione więzy pomiędzy budżetami publicznemi a budżetami ubezpieczeń. Kreślenie pożądanych stadjów ewolucyjnych, z których pierwszem jest być może trwałe zapewnienie równowagi budżetowej Państwa, przekracza ramy niniejszej notatki. Również ramy te przekracza wykazanie niewątpliwie istniejących związków pomiędzy zagadnieniem autonomizmu polityki finansowej a zagadnieniem samorządu instytucyj ubezpieczeniowych.

Autor niniejszej notatki zdaje sobie sprawę, że wysuwanie w toku dyskusji, mającej — być może — na celu wytknięcie minimalnych niezbędnych granic dla tego zła koniecznego, jakiem w dzisiejszym ustroju są ubezpieczenia społeczne, postulatów takich jak konieczność uzyskiwania pełnych rezerw kapitałowych i autononizm polityki lokacyjnej ubezpieczeń, może być uważane za nieaktualne. Nie chcąc być posądzanym o skłonność do utopji autor sądzi, że ustalenie postulatów niezbędnych, maksymalnych tylko w zakresie realizacji obietnic już uczynionych i nie obejmujących zwiększenia zakresu zadań ubezpieczeń, może być jednak pożyteczne chociażby dla skonstruowania realnego programu minimalnego uwzględniającego nie tylko potrzeby dnia dzisiejszego, ale i potrzeby jutra. *Roman Garlicki.*

O NAWIASACH IDEOLOGJI REAKCJONISTY

Pan J. Poniatowski przeprowadził w poprzednim numerze „Gospodarki Narodowej“ wnikliwą i konsekwentną analizę dobroczynnych skutków ewentualnego zlikwidowania ubezpieczeń społecznych. Piszę — zlikwidowania, bo chociaż w końcowym ustępie swego artykułu autor mówi tylko o redukcji obciążeń, to jednak cały poprzedni tok rozumowania zmierza do likwidacji. Takie wrażenie pozostaje chyba u każdego czytelnika. Pozatem dla uzasadnienia konieczności dopasowania jedynie ciężaru świadczeń socjalnych do globalnej sumy polskiego dochodu narodowego *nie trzeba* aż tych argumentów, które autor wytoczył. Argumentacja p. J. P. jest logiczna i przekonywująca, jak każda dobra argumentacja, wychodząca z założeń liberalizmu gospodarczego. My jednak żyjemy w okresie gospodarki związanej. Pan J. P. o tem pamiętał, pisząc o trudnościach wskazywanej przez siebie drogi wspomniał w nawiasach o kartelach. Niniejszem otwieram ten nawias.

Powiedziałem, że żyjemy w epoce gospodarki związanej. Powrót do liberalizmu uważam za niemożliwy, gdyż niema czynników społecznych, któreby go chciały zrealizować. Przemysł chce zawiązywać kartele, a nie likwidować je. Przymus nic tu nie pomoże. *Przymusowy liberalizm* to contradictio in adjecto. Przymusowo można realizować tylko różne odmiany gospodarki związanej. Rozpatrując zatem kwestję ubezpieczeń społecznych w Polsce musimy uwzględnić wszystkie istniejące warunki, a zwłaszcza te, których nie możemy zmienić.

Pan J. P. atakuje ubezpieczenia społeczne głównie dlatego, iż działają one jego zdaniem wysoce ujemnie na procesy kapitalizacyjne i że podrażają koszta produkcji, czyniąc przez to nasze wyroby przemysłowe mało konkurencyjnemi w stosunku do zagranicznych. Poparciem tego twierdzenia ma być przytoczenie wysokich globalnych sum świadczeń socjalnych. Jest to rozumowanie abstrakcyjne, nie uwzględniające miejsca i czasu.

Pomówmy jednak nie o kapitalizacji „wogóle“, ale o *polskiej kapitalizacji*, to znaczy o tej sumie wytworzonego dochodu netto, która pozostaje w Polsce. Nawet abstrahując od mało naogół kwestjonowanego poglądu, iż świadczenia ubezpieczeniowe koniec końców obciążają zawsze fundusz płac, i traktując sprawę czysto formalnie, należy zauważyć, że nie całą sumę świadczeń ubezpieczeniowych płacą przedsiębiorcy. Część jej przypada przecież na pracowników, to znaczy, że ubezpieczenia przymusowe kapitalizują sumy, któreby inaczej poszły na konsumcję. Pan J. P. mówi jednak o globalnej sumie świadczeń tylko jako o obciążeniu produkcji, i na krótką metę ma o tyle rację, że w razie zniesienia ubezpieczeń, przy dzisiejszej konjunkturze, ubezpieczeni nie dostaliby tych pieniędzy. Zabrałby je przedsiębiorca. Przedsiębiorca ów miałby je zużytkować produkcyjnie. Lwia jednak część naszego przemysłu należy do kapitału zagranicznego, który wygospodarowane zyski wywozi z kraju. Wywiózłby zatem zwiększone zyski, uszczuplając tem ogólny dochód narodowy. Przypomnieć należy, że według obliczeń pp. Landaua i Kaleckiego*) dochód akumulowany przez krajowy kapitał prywatny wyniósł w roku 1929 0,3 miljarda zł. zaś przez kapitał zagraniczny czynny w Polsce 0,4 miljarda, a *zatem więcej*.

Zapewne krajowi przedsiębiorcy otrzymaliby również zwiększone zyski. Mogliby je inwestować, ale mogliby również część zużyć na powiększenie swojej konsumcji. Nie byłoby to oczywiście zwię-

*) Szacunek dochodu społecznego w roku 1929. Landau i Kalecki.

kszenie ogólnej konsumcji, tylko przesunięcie kosztem konsumcji ubezpieczonych i aparatu ubezpieczeniowego. No, a pozatem, wobec braku bodźców dla działalności inwestycyjnej sumy te częściowo mogłyby zostać ztezauryzowane.

Przewiduję argument, że zwiększona dochodowość kapitałów zagranicznych skłoniłaby je do zwiększenia inwestycyj w Polsce. Ale ja w to dziś nie uwierzę. Przedsiębiorstwa, oparte na kapitale zagranicznym, są filjami wielkich koncernów zagranicznych, które przedewszystkiem dążą do lokowania produkcji swoich przedsiębiorstw w krajach macierzystych. Wobec ogólnego przeinwestowania wielkich potęg przemysłowych świata nie może być dzisiaj mowy o inwestowaniu zagranicą, o uprzemysławianiu krajów, z których te potęgi chcą zrobić rynek zbytu dla siebie.

Tak samo wygląda kwestja konkurencyjności. Dziś w lwiej części wypadków rynki zbytu i ceny regulują umowy, a nie konkurencja. Cena nie kształtuje się proporcjonalnie do kosztów własnych. Kartele międzynarodowe regulują rynki zbytu, oraz ceny i kwoty eksportowe, przypadające na poszczególne państwa, również nie pod kątem widzenia kosztów produkcji w danym kraju. Nasz dzierżawca monopolu zapałczanego miał umowę, że będzie eksportował z Polski zapałki, ale tego nie zrobił i nie koszty produkcji zapałek w Polsce były tego przyczyną. Dzierżawca wolał bowiem eksportować z kraju, z którego pochodził jego kapitał. Dziś kapitał zagraniczny często przychodzi po to, ażeby ograniczyć polską konkurencję, a nie po to, ażeby ją wzmóc.

Reasumując powyższe wywody, sądzę, że skasowanie ubezpieczeń skasowałoby *pewną* kapitalizację przymusową, która jest gorzej lub lepiej zużywana całkowicie w kraju, a wzamian dałoby *niepewny* wzrost prywatnej kapitalizacji krajowej i zmniejszenie kapitalizacji ogólnej, na skutek wywozu zysków przez kapitał zagraniczny zaangażowany w przemyśle.

Nie koniec jednak na tem. Polska ma rozrzuconą po świecie emigrację. Emigranci, przepracowawszy pewien czas w jakimś kraju, korzystają na zasadzie umów międzypaństwowych, opartych na wzajemności ze świadczeń ubezpieczeniowych w krajach immigracyjnych. Niektórzy, po powrocie do kraju, otrzymują renty. Świadczenia tego rodzaju stanowią czynną pozycję w naszym bilansie płatniczym i powiększają nasz ogólny dochód narodowy. Skasowanie ubezpieczeń mogłoby uniemożliwić zawieranie odnośnych umów z krajami immigracyjnemi, co wpłynęłoby na dalsze, poza wywozem dywidend, uszczuplenie dochodu narodowego. Wogóle wydaje mi się, iż my zbyt często zapominamy o tem, że chociaż jesteśmy krajem kapitalistycznym, to jednak nie jesteśmy narodem kapitalistów, lecz robotników i chłopów. Dość spojrzeć na nasz bilans płatniczy, gdzie pozycje, wynikające z obrotu kapitałów są ujemne, a dodatniemi są pozycje, wynikłe z wywozu pracy, w postaci ludzi i towarów oraz ze sprzedaży usług — aby sobie uprzytomnić, iż sprawa kształtowania się dochodu z pracy stanowi dla Polski zagadnienie nie mniej ważne, jak rentowność kapitałów, a w płaszczyznie walki o międzynarodowy podział dochodów nawet ważniejsze. Nie może być przeto mowy o podporządkowywaniu z lekkiem sercem dochodowości pracy — dochodowości kapitału. Wielka rola dochodu z pracy w ogólnej sumie polskiego dochodu narodowego i niska konsumcja nakazują pilne baczenie, by dążąc do podniesienia dochodu netto, nie zmniejszyć dochodu brutto. Teraz jeszcze parę słów o chłopie. Pan J. P. wskazuje, że na wsi panuje straszna nędza i że chłop patrzy z zazdrością na bezrobotnych, zatrudnianych przez Fundusz Pracy. Gdyby skasowanie ubezpieczeń miało i mogło odbić się dodatnio na dobrobycie wsi, pierwszy głosowałbym za niem. Ale wyżej wskazany argument p. J. P. ma charakter uczuciowy. Autor uważa, że istnienie ubezpieczeń robotników miejskich jest niesprawiedliwe w warunkach nędzy wsi — przez sam kontrast z tą nędzą. Nędzę wsi może usunąć tylko wzrost powszechnego dobrobytu, do którego droga prowadzi według autora przez usunięcie obciążeń socjalnych.

Nie przytaczam cyfr, podobnie jak i poprzedni autorzy. Ale podjąłbym się obrony twierdzenia, że skasowanie ubezpieczeń raczej zaszkodzi wsi. Poprzednio starałem się wykazać, że istnienie gospodarki związanej w ramach międzynarodowych karteli spowodowałoby zdyskontowanie przez kapitał zagraniczny zniżki kosztów produkcji, wynikłej ze skasowania świadczeń socjalnych. Kartele krajowe zrobiłyby to samo — nie zniżyłyby cen, jak nie zniżają ich i teraz, aczkolwiek koszty produkcji spadły poważnie w ciągu ostatnich paru lat. Chłop natomiast straciłby konsumentów w osobach dzisiejszych ubezpieczonych w tych momentach, kiedy ci, nie mając pracy z powodu choroby czy bezrobocia, nie pobieraliby zasiłków ubezpieczeniowych. Wydaje mi się, że istnienie ubezpieczeń działa dodatnio na konjunkturalne wahania konsumcji artykułów spożywczych.

Powyższe rozważania traktuję jako teoretyczne, podobnie,, jak i omawiany artykuł p. J. P. Uważam bowiem, że skasowanie ubezpieczeń społecznych w Polsce jest rzeczą zgoła nierealną. Pan J. P. twierdzi wprawdzie, że niema innej drogi z wyjątkiem naszkicowanej przez niego, ja jednak wychodząc z założenia, że przymusowy liberalizm jest niemożliwy nawet do pomyślenia, twierdzę, że niema *właśnie* tej drogi.

System ubezpieczeń społecznych jest niezbędnym składnikiem naszego ustroju społeczno - gospodarczego, koniecznym instrumentem dokonywania korektury podziału dochodu społecznego dla zaspakajania ważnych gospodarczych socjalnych i eugenicznych potrzeb zbiorowych. Odrzucając a limine możliwość realizacji ustroju „przymusowo - liberalnego" uważam, że praktycznie możliwą jest dziś tylko jedna forma ustroju społeczno - gospodarczego, w której system ubezpieczeń społecznych, jeśli nie jest całkowicie zbędny, to w każdym razie nie jest konieczny. Jest to ustrój, istniejący w Związku Socjalistycznych Republik Rad.

Zygmunt Szempliński.

WYNIKI I WNIOSKI Z DYSKUSJI

W numerze niniejszym zamknięta zostaje dyskusja nad zagadnieniem ubezpieczeń społecznych. Zamknięta — bowiem perjodyk nie może zbyt długo zatrzymywać uwagi czytelnika na jednym problemie, chociażby nawet pewne działy zagadnienia nie zostały wyczerpane. Takim działem jest w danym wypadku kwestja możliwości i celowości przebudowy organizacyjnej i kompresji kosztów naszego systemu ubezpieczeniowego, bez naruszania samej zasady. Luki tej jednak nie uważam za dotkliwą, gdyż temat ten z natury rzeczy nadaje się raczej do czasopism i publikacyj o charakterze specjalnym. Sądzę natomiast, że najważniejszy cel dyskusji — postawienie zasadniczego problemu we właściwej płaszczyźnie — osiągnięty został. Postaram się na tle dyskusji określić ową płaszczyznę, zastrzegając się z góry, że oczywiście dążenie do lojalnego i objektywnego odzwierciedlenia wygłoszonych opinji nie jest równoznaczne z eliminowaniem subjektywnego stosunku do poszczególnych poglądów.

W świetle przeprowadzonej dyskusji wydaje mi się, że jeśli rozważania nad problemem ubezpieczeń społecznych nie mają być bezpłodne, papierowe lub jednostronne, to punktem wyjścia w nich musi być zawsze uwzględnienie dwóch podstawowych momentów: *wielorakości zadań, spełnianych przez ubezpieczenia, oraz miejsca i czasu, w których istnieje system ubezpieczeniowy.* Punktem wyjścia systemu ubezpieczeń społecznych jest zabezpieczenie jednostki, względnie grupy społecznej przed konsekwencjami „zjawisk losowych lub w przybliżeniu losowych". To zadanie o tyle można uważać za najistotniejsze, że ochrona przed ryzykiem jest istotą funkcji wszelkich ubezpieczeń wogóle i że inne funkcje systemu ubezpieczeniowego mogą być w zasadzie (lepiej czy gorzej) realizowane na innej drodze niż ubezpieczenia. Tem niemniej w dzisiejszej rzeczywistości gospodarczej i społecznej owe „inne zadania" nie są czemś wtórnem, drugorzędnem, lecz przeciwnie, organicznie zrosły się z systemem ubezpieczeniowym. Wyliczmy te zadania.

1. Ubezpieczenia mogą służyć do zapewnienia zwiększonego zaspokojenia pewnych potrzeb, których lepsze zaspokojenie zbiorowość uważa za konieczne. Pokrywa się to mniej więcej z podstawową funkcją ochrony przed ryzykiem wypadków losowych, ale jest ujęciem tej sprawy nie z punktu widzenia interesów ubezpieczonych, lecz z punktu widzenia interesu zbiorowości.

2. Ubezpieczenia wiążą „interesy materjalne społecznej warstwy ubezpieczonych z losami Państwa" i mogą być drogą oddziaływania na biologiczny i psychologiczny rozwój narodu, jako jednostki, której przeznaczeniem jest „rosnąć i trwać".

3. Ubezpieczenia są jednym ze środków kapitalizacji przymusowej i mogą służyć do wszelkich celów, dla których może być użyta kapitalizacja przymusowa, a więc jako podkład dla długoterminowego kredytu państwowego, jako środek upłynniania rezerw skarbowych w pewnych okresach.

4. Ubezpieczenia, jako mniej elastyczne od płac, mogą służyć jako środek zabezpieczenia sumy: płace + świadczenia, przed wpływem czynników działających na zniżkę.

Ubezpieczenia mogą w warunkach, kiedy płace nie kształtują się jako rezultat wolnej gry czynników ekonomicznych, lecz są regulowane, służyć jako pośredni środek podwyżki płac.

Innemi słowy, w pewnych okolicznościach ubezpieczenia społeczne są środkiem regulowania podziału dochodu społecznego.

Nie wszystkie pośrednie i bezpośrednie zadania i funkcje systemu ubezpieczeniowego oceniane są jednakowo. Charakterystycznem jest, że w dyskusji na łamach „Gospodarki" nie były podnoszone wątpliwości co do roli ubezpieczeń jako czynnika, zmniejszającego rolę ryzyka we współczesnem życiu gospodarczem. Nie wiem, czy wpełni uprawnione jest wyprowadzenie stąd wniosku, że wyrażany przed paroma miesiącami na innym terenie pogląd, iż ubezpieczenia prowadzą do nadmiernego eliminowania ryzyka ze współczesnego życia, można uznać za odosobniony w naszem społeczeństwie — ale wydaje mi się to prawdopodobne. Istotnie bowiem, nasz system ubezpieczeniowy daleki jest od zrealizowania na odcinku klasy pracowników najemnych sytuacji wolnej od ryzyka. Z dużą słusznością zaakcentowano też, że w tej płaszczyźnie ubezpieczenia „stanowią ochronę grup ekonomicznie słabszych", podczas gdy „prawo silniejszego" stworzyło niejedną formację, zabezpieczającą owych silniejszych przed ryzykiem przedsiębiorcy.

Jeśli chodzi o następny moment, to znaczy o kwestję świadomego przesuwania zaspokojenia potrzeb w pewnym określonym kierunku, czyli redukowania bieżącej konsumcji indywidualnej na rzecz lecznictwa, — również nie były podnoszone zastrzeżenia. Świadczy to o silnem i głębokiem ugruntowania się poglądu, iż w dobie dzisiejszej Państwo ma prawo i obowiązek nietylko zmniejszać konsumcję, np. w postaci ograniczeń kartkowych w czasie wojny, lecz również zabezpieczać pokrycie pewnej potrzeby w wyższym stopniu, aniżeliby to miało miejsce przy samorzutnem kształtowaniu się rozchodu ubezpieczonego. Rzecz inna, iż biorący udział w dyskusji nie wypowiadali się, czy obecny rozdział kwoty, obejmującej płace z jednej, a świadczenia ubezpieczeniowe z drugiej strony, rozdział pomiędzy konsumcję bezpośrednią, a lecznictwo i kapitalizację, jest dokonywany według najszczęśliwszego klucza, ale to można już uważać za zagadnienie szczegółowe.

Wydaje mi się niezmiernie charakterystycznem dla współczesnej umysłowości również i to, że w dyskusji obok punktu widzenia, że tak powiem klasycznego, został silnie zaakcentowany kąt widzenia „neo-nacjonalistyczny", który w ubezpieczeniach widzi nietylko środek społeczno - gospodarczej polityki w płaszczyźnie podziału dochodu społecznego, ale także, a nawet przedewszystkiem upatruje w nich narzędzie, służące Państwu do

zapewnienia biologicznego rozwoju zbiorowości, którą obejmujemy słowem „naród". Nie sądzę, ażeby w sprzeczności z tym kątem widzenia pozostawała uwaga, iż „dopóki ubezpieczenia obejmują drobną część ludności, a założenia polskiej polityki populacyjnej są nieznane — trudno mówić o wielkiej doniosłości efektu" systemu ubezpieczeniowego w płaszczyźnie zagadnień populacyjnych. Uwaga ta dąży raczej do nieprzeceniania tego czynnika, niż do zaprzeczenia jego roli, przyczem wydaje się, iż rola ubezpieczeń w kierunku podniesienia poziomu zdrowotności sama przez się, niezależnie od mniej czy więcej wyraźnej polityki populacyjnej służy i sprzyja zwiększaniu przyrostu naturalnego.

Wyraźny spór natomiast nasuwa się na tle zagadnienia przymusu kapitalizacyjnego. Spór na tyle wyraźny, że w jednym z głosów dyskusyjnych znajdujemy twierdzenie, iż zgodność tego celu „z dobrem publicznem jest wysoce problematyczna, a w każdym razie sporna". Szerzej zagadnienie to nie zostało omówione. I słusznie. Bowiem rozpatrywanie sprawy kapitalizacji przymusowej wyłącznie na płaszczyźnie zagadnienia ubezpieczeń, do niczego prowadzić nie może. Oczywiście, gdyby brać sprawę wyłącznie z punktu widzenia ubezpieczonych, możnaby ją było dyskutować. Jeśli się jednak nie mylę, to pod tym kątem wątpliwości się nie budzą. Budzą się one natomiast pod kątem ogólno - gospodarczej roli kapitalizacji przymusowej. I tu właśnie podkreślić należy, że ubezpieczenia nie są jedyną formą tej kapitalizacji i że bodaj-że ilość innych form wykazuje tendencję wzrostu. Nie jest to argument za kapitalizacją przymusową, natomiast wskazuje to, iż jeśli kapitalizacja przymusowa w ubezpieczeniach jest chorobą, to choroba ta ma charakter nagminny, i nie miałoby celu zastanawiać się nad *jednym przypadkiem* chorobowym, nie analizując źródeł i skutków całej epidemji.

Na tle ostatniego problemu, problemu wpływu na rozdział dochodu społecznego, wywiązała się najbardziej ożywiona dyskusja. Nie w płaszczyźnie „usztywniającej" roli ubezpieczeń, gdyż zacytowane w dyskusji cyfry wskazują, że ta rola jest ogólnie przeceniana i że czynniki działające na zniżkę płac są niepomiernie silniejsze od tego skromnego usztywnienia. To też kontrowersja skupiła się wokół problemu wpływu wysokich płac na rozwój gospodarczy Polski (wliczając do płac koszt ubezpieczeń). Tej kontrowersji poświęcę końcową część moich wywodów, uważając ją za najistotniejszą w całym sporze.

Streszczenie dyskusji nad zagadnieniem wielorakich zadań ubezpieczeń nie byłoby pełne, gdybym nie podniósł, że w dyskusji zwrócono uwagę, iż niektóre z potrzeb, zaspakajanych przez ubezpieczenia, są „i przy nieistnieniu ubezpieczeń" częściowo, lub w stopniu minimalnym zaspakajane przez opiekę społeczną i filantropijną. To postawienie sprawy przypomina nam, że nie należy mówić o *stwarzaniu* zaspokojenia potrzeb przez ubezpieczenia, lecz jedynie o *rozszerzaniu*. Mnie osobiście wydaje się to jednak obosieczne, gdyż o ile zmniejsza wagę świadczeń ubezpieczeniowych, o tyle też zmniejsza i wagę ciężarów ponoszonych na rzecz ubezpieczeń, przy ubezpieczeniach bowiem odpada część wydatków na cele społeczne i filantropijne. Ważny jest również inny podniesiony moment, że obok wiązania z Państwem system ubezpieczeniowy stwarza nowy punkt tarcia pomiędzy ubezpieczonym, który nigdy w praktyce nie uważa swych potrzeb za dostatecznie zaspokojone, a Państwem. Jest to oczywiście nieuchronna konsekwencja wszelkiego systemu, w którym indywidualne, własnemi siłami zaspakajanie potrzeb zastępuje się zaspokojeniem zorganizowanem, zbiorowem. W pewnym sensie możnaby to odnieść (proszę p. Poniatowskiego o wybaczenie mi tej uwagi w reasumpcji, która nie powinna być polemiką z dyskutującymi) do wszelkich wogóle budżetów publiczno - prawnych. Istotnej różnicy tu w każdym razie niema.

Tak przedstawia się ten pierwszy punkt zasadniczy dyskusji. Przed przejściem do drugiego spróbujmy ssyntetyzować to, co się na tle pierwszego nasuwa. Wniosek ten jest prosty, ale równocześnie niezmiernie doniosły. Niezależnie od punktu wyjścia systemu ubezpieczeniowego, (t. zn. dążenia do zmniejszenia ryzyka) niezależnie od subjektywnych celów twórców systemu, ubezpieczenia we współczesnem życiu społeczno - gospodarczem odgrywają rolę wielostronną, wieloraką. Niema oczywiście w życiu gospodarczem wogóle odcinków izolowanych. Ale tu, w ubezpieczeniach — związki z całokształtem życia społecznego i gospodarczego, z całokształtem roli i działalności Państwa są szczególnie silne, podczas kiedy w stawianiu tego problemu niejednokrotnie dążono do izolowania sprawy ubezpieczeń, do wyrwania jej z całości.

Na tle dyskusji na łamach „Gospodarki Narodowej" występuje bardzo plastycznie niemożliwość omawiania i rozstrzygania problemu ubezpieczeń w oderwanu od polityki płac, polityki społecznej, polityki w zakresie kapitalizacji, zagadnień zdrowotności i szeregu innych problemów, aż do zagadnienia militarnego włącznie. Oczywiście, niesposób wymagać ustosunkowania się do tych problemów w dyskusyjnym artykule, czy nawet w serji artykułów. Ale należy pamiętać o tem, że *plan zniesienia czy też radykalnej rewizji systemu ubezpieczeń nie mógłby ograniczyć się do negacji*, nie mógłby tych wszystkich problemów zostawić samopas. Mnie osobiście wydaje się, że próba zbudowania takiego planu musiałaby nawet przeciwnika systemu ubezpieczeń doprowadzić... do punktu wyjścia, do ubezpieczeń społecznych. Ale to oczywiście subjektywna uwaga na marginesie. *O ile* można ją uważać za uzasadnioną przebiegiem dyskusji — to już kwestja sądu osobistego czytelnika.

Drugi podstawowy problem, który nazwałem wyżej „uwzględnieniem momentów miejsca i czasu, w których istnieje system ubezpieczeniowy", znalazł w dyskusji dwojaki wyraz. Jeśli chodzi o czynnik *czasu* zostało dobitnie podkreślone, że ubezpieczenia społeczne są „produktem

swojej epoki, epoki gospodarki związanej". Że istnieją one w okresie, w którym „1), zakres zjawisk regulowanych przez czynniki społeczne, jest szerszy niż w ubiegłych dziesięcioleciach i ma dążność do wzrostu, 2) korzystają z prawa obywatelstwa instytucje, które podział dochodu społecznego korygują na korzyść grup ekonomicznie silniejszych". W tych warunkach uczciwy „reakcjonista" (ten typ myślenia podjął się w dyskusji reprezentować p. Poniatowski) o tyle może kwestjonować ubezpieczenia, jako czynnik, zmieniający automatyczny rozdział dochodu społecznego, iż równolegle kwestjonuje inne czynniki, niemniej silnie, ale zato w innym kierunku oddziaływujące na kształtowanie się rozdziału tego dochodu. Pominięcie tego związku nietylko prowadziłoby do postawienia dyskusji poza konkretnem tłem momentu czasowego, w którym się ona odbywa, ale uprawniałoby do kwalifikowania oponentów jako reakcjonistów bez cudzysłowu. Ten typ w dyskusji na łamach Gospodarki nie był niestety reprezentowany. Wydaje się natomiast niespornem, że z punktu widzenia reakcjonistów w cudzysłowie postulaty anty - ubezpieczeniowe stanowią organiczną całość z postulatami anty - kartelowemi. O tem możnaby podyskutować. Tylko, czy takie postawienie sprawy nie odłożyłoby dyskusji ubezpieczeniowej na dystans zbyt daleki z punktu widzenia zwolenników daleko idącej reformy?

Przejdźmy wreszcie do ostatniego i zasadniczego punktu sporu, który nasunął się na tle elementu *miejsca,* a mówiąc wyraźniej, na tle polskiej biedy, na tle olbrzymiego przyrostu ludności, któremu nie towarzyszy równoległy przyrost kapitału, na tle niskiej stopy życiowej ludności wiejskiej — krótko mówiąc na tle naszej rzeczywistości. Otóż z tego tła może być wyprowadzony tylko jeden wniosek. Wszystko, co robimy, nie może być obliczone tylko na dziś, lecz musi być również, a nawet przedewszystkiem, przygotowaniem lepszego jutra. System ubezpieczeń społecznych prześwietlony został w dyskusji z kilku stron pod tym właśnie kątem lepszego jutra, pod tymże kątem wpływu na rozwój gospodarczy Polski. Wyniki otrzymane zostały różne. Z jednej strony wysunięta została teza, że „obciążenia ubezpieczeniowe nie sprzyjają dodatniemu kierunkowi ewolucji gospodarczej Polski, że wzrost kwoty, obejmującej płace plus świadczenia, hamuje postępy kapitalizacji, wzrost zatrudnienia i dobrobytu, z drugiej wręcz przeciwnie, wzrastające płace uznane zostały za „warunek rentowności nakładu kapitałowego", za punkt wyjścia dla wyprzedzenia tempa przyrostu ludności przez wzrost możliwości zatrudnienia, za punkt wyjścia dla wchłonięcia wiejskiego przeludnienia. Stanęliśmy zatem wobec djametralnie sprzecznych poglądów.

Sprzeczność jest zbyt zasadnicza, zbyt podstawowa, ażeby pokusić się w reasumpcji o jej rozstrzygnięcie. Nawiasowo tylko pozwolę sobie zaznaczyć, że podkreślony w dyskusji przez zwolenników poglądu o ujemnym wpływie gospodarczym ubezpieczeń kontrast pomiędzy wyższym poziomem płac pracowników najemnych a nędzą ludności wiejskiej, nie wydaje mi się argumentem przekonywującym. Mówi się, iż korzyści z ubezpieczeń społecznych to korzyści tylko kilkunastu procent ludności Polski, drobnej wyspy, przeciwstawionej masom wiejskim. Ten rodzaj argumentacji przez zestawienie działających na wyobraźnię cyfr, wydaje się zawsze niezmiernie przekonywujący. Ale czy możnaby dalej kroczyć drogą tego rozumowania i zlekceważyć wogóle rolę przemysłu w Polsce, skoro daje on utrzymanie zaledwie 9% ludności? Możnaby coprawda rozumować, że w związku z istnieniem ubezpieczeń społecznych poziom cen przemysłowych jest wyższy, a w ten sposób następuje przerzucenie części ciężaru utrzymania ubezpieczeń na inne grupy społeczne; jest to jednak tylko część niewielka, gdyż w głównej części ciż sami pracownicy najemni, nabywając artykuły przemysłowe, opłacają koszt ubezpieczeń. Wieś jak wiemy, nawet w okresie największej swej siły nabywczej, grała na rynku drugorzędną rolę, konsumując ¼, — ⅓ ogółu towarów przemysłowych. Jeżeli zatem z innych przyczyn nie uznamy systemu za wadliwy, należy stwierdzić, że wśród wielu czynników, stwarzających dysproporcje w Polsce, ten (świadczenia społeczne) z pewnością odgrywa czwartorzędną rolę. Więcej nawet. Jeżeli staniemy na gruncie, że w interesie wsi leży rozbudowa przemysłu, że na tej drodze należy oczekiwać rozwiązania kwestji przeludnienia, i jeżeli jednocześnie uważać będziemy politykę wysokich płac za środek, prowadzący ku temu, to ewentualne dodatkowe obciążenie wsi jako konsumenta w skromnych rozmiarach artykułów przemysłowych, o tyle o ile będzie związane z podwyżką płac, trzeba będzie uznać koniec końców dla wsi za produktywne, a więc celowe i korzystne. Oczywiście, jeżeli się kwestjonuje pożytek i celowość polityki wysokich płac, to wtedy świadczenia społeczne pod kątem dysproporcji sytuacji wsi i miasta można uważać za minus.

Wróćmy jednak do kontrowersji podstawowej. — Czy przyśpieszanie, czy też hamowanie wzrostu względnie obniżanie poziomu płac (łącznie ze świadczeniami) leży w interesie gospodarczym Polski? Pomijając moje osobiste przekonania, (w których solidaryzuję się z pierwszym poglądem), nie mogę — reasumując dyskusję — uważać tej sprawy za stojącą poza sporem. Natomiast w świetle tego sporu staje się wyraźne, że jeśli kwestja ubezpieczeń ma być rozstrzygnięta w sposób, odpowiadający powadze zagadnienia, to musi ona zostać potraktowana właśnie tak, jak ją w dyskusji postawiono. Nie jako oderwany „problem ubezpieczeń", lecz jako pewna szczególna postać zasadniczego, programowego zagadnienia kierunku rozwoju gospodarczego Polski i dróg, do tego rozwoju prowadzących.

Tak przedstwia się, na tle przeprowadzonej dyskusji, *istota* problemu ubezpieczeniowego. Jeśli chodzi o bardziej aktualne, doraźne trakto-

wanie sprawy, niech mi będzie wolno — skoro w dyskusji udziału nie brałem — zacytować własne słowa z artykułu, zamieszczonego w numerze 7 „Gospodarki" z r. 1934. Słowa, które wynikają ze stwierdzenia faktu, iż gospodarka współczesna jest na całym szeregu odcinków gospodarką związaną, regulowaną.

„Nie wolno traktować zagadnienia ubezpieczeń społecznych w oderwaniu od zagadnienia płac i cen. Jeżeli zagadnienie zmniejszenia świadczeń na cele ubezpieczeń społecznych postawione zostanie łącznie ze sprawą podwyżki płac — przyjmuję dyskusję nad wysokością i sposobami obniżki. Jeżeli postawione zostanie łącznie z zagadnieniem obniżki cen, przedewszystkiem kartelowych, również przyjmuję dyskusję. Jeżeli natomiast zostanie postawione w oderwaniu — dyskusji nie przyjmuję, gdyż wiem wtedy, że ubezpieczenia mają stracić, a nie wiem, kto ma zyskać. A właściwie wiem, kto *zyska*".

Czesław Bobrowski.

NOTATKI

„PRZEDSIĘBIORCA" A „GOSPODARZ"

Dla ekonomisty rolnego jednem z najważniejszych wydarzeń w roku jest ukazywanie się już od lat 7 „Badań nad opłacalnością gospodarstw włościańskich" Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach. Bezwzględną wartością tych wydawnictw jest stałość układu, — wobec czego porównywanie wzajemne cyfr w szeregach siedmioletnich nie przedstawia żadnych trudności. Tworzą one w tym wypadku korzystny kontrast w porównaniu z wydawnictwami pewnej innej zbiornicy danych statystycznych, obejmującej całokształt życia gospodarczego, która ciągle coś „ulepszając", utrudnia zestawienie choćby z lat 3 — 4.

Stałość jednak Wydz. Ekonom. Drobnych Gospodarstw Wiejskich ma i poważne minusy, — odnieść to można zresztą nietyle do samej „stałości", ile do pewnego ujęcia szczegółów, które wobec konserwatyzmu w opracowaniach, nie mogą się doczekać odmiennych form, bardziej przystosowanych do panujących warunków gospodarczych.

Przedewszystkiem zatem nasuwa wątpliwość podawanie stanu poszczególnych kapitałów czynnych w gospodarstwie rolnem tylko w złotych, a zatem w oparciu bądź o szacunek, bądź też o faktycznie uzyskiwane ceny. Pozycje takie, jak kapitał ziemi, kapitał roślinny; kapitał inwentarza żywego i t. p., podawane w jednostkach pieniężnych, tworzą słuszną podstawę dla wniosków w zakresie polityki gospodarczej o ile znajdujemy się choć w przybliżeniu w ustabilizowanych warunkach. Natomiast, gdy ceny ulegają ciągłym wahaniom, zwłaszcza z tendencją zniżkową, pozycje powyższe w ten sposób ujęte, mogą być tylko stwierdzeniem powszechnie znanych faktów spadku cen ziemi, płodów rolnych, zwierząt domowych. Pozycje te nie mówią o najbardziej istotnych zmianach, jakie zaszły wewnątrz gospodarstw rolnych, bo nie podają w cyfrach bezwzględnych ustosunkowania się wzajemnego poszczególnych gałęzi gospodarstwa rolnego w perspektywie lat kilku.

Dobrze, — ale obliczenie kapitałów czynnych w gospodarstwie rolnem musi być podstawą dla zbadania ich opłacalności, a przecież dla tego celu prowadzi się omawiane prace. Odpowiedzmy na to szczerze bez obłudy: chyba niema ekonomisty obeznanego z praktyką rolną, któryby nie bez ironicznego uśmiechu spoglądał na wyniki badań opłacalności naszych gospodarstw włościańskich prowadzonych metodami rachunkowości przeznaczonej dla przedsiębiorstw kapitalistycznych i wykazujących od r. gosp. 1927/28 stałe straty. Sądzę, że rozdziały „Badań" podające cyfry określające zysk lub straty, rentę majątkową oraz najrozmaitsze dochody, cyfry będące rezultatem trudnej do spamiętania ekwilibrystyki arytmetycznej, nie tworzą żadnej wartości same dla siebie w pojedyńczym roku gospodarczym, natomiast są użyteczne tylko jako wskaźniki w zestawieniach wieloletnich, wykazujące pewne tendencje w ewolucji cyfr uzyskiwanych rok rocznie temi samemi metodami.

Należy stwierdzić, że najbardziej istotną wartość „Badań" dla polityki gospodarczej, potwierdzoną doświadczeniem lat 7, stanowią te pozycje, które określają wewnętrzną budowę gospodarstw wiejskich, a więc ustosunkowanie się wzajemne ich składników oraz wskazują na ewolucję jakiej ulegają te organizmy, zależnie od zmian zachodzących na terenie gospodarstwa społecznego. A te momenty, wobec zmienności w kształtowaniu się rynków, najbardziej plastycznie wyrażone być mogą tylko w danych bezwzględnych.

Tak metodyka badań, jak też tendencje, uwidaczniające się w wydawnictwach W. E. D. G. W. starają się gwałtem zrobić z naszego rolnika przedsiębiorcę, na wzór przemysłowca. Pojęcie takie w stosunku do naszych włościan jest w każdym razie anachronizmem, jeżeli nie wogóle nonsensem teoretycznym. Pojęcie przedsiębiorcy powstałe na gruncie pracy przemysłowej i handlowej zawiera w sobie pierwiastki właściwe dla tego rodzaju warsztatów pracy, których podstawa luźno jest związana z terenem, z łatwością może być zwiększona, zmniejszona lub zlikwidowana, a obrót zależny przedewszystkiem od kapitału — może być dzięki temu zwiększany lub zmniejszany zależnie od konjunktury rynkowej. Gospodarstwo rolne natomiast mające swą podstawę w ziemi, nieprzenośne, ograniczone w swobodzie obrotów kapitałami przez sezonowość czynnika przyrody, umożliwia kierownikowi warsztatu tylko w nieznacznym stopniu i tylko w zakresie pewnych działów na

przyjęcie metod pracy właściwych dla przedsiębiorstw przemysłowych lub handlowych. Uwzględniwszy obok powyższych czynników, charakterystyczny dla rolnika uczuciowy jego stosunek do posiadanego kawałka ziemi, wydaje się być niewątpliwem, że psychiczne nastawienie, jakie ma handlowiec czy przemysłowiec do swoich poczynań gospodarczych, nie może być przyjęte przez rolnika, który kieruje się innemi kryterjami w stosunku do wyników, jakie uzyskuje w swej działalności wytwórczej. Rolnik niezależnie od tego, czy będzie pracował kapitalistycznie, czy akapitalistycznie, intensywnie czy ekstensywnie, z przeznaczeniem większości swej wytwórczości na zbyt, czy na samozaopatrzenie, — zawsze będzie tylko gospodarzem (wyjątki kończące prędzej niż inne — plajtą, potwierdzają regułę!). Pojęcie gospodarza nie jest ani niższe, ani wyższe w stosunku do pojęcia przedsiębiorcy. Jest równorzędne i właściwe dla określonego rodzaju działalności gospodarczej, której głównym czynnikiem jest ziemia i przyroda. One nastawiają odmiennie psychikę człowieka do produkcji i do korzyści z niej osiąganych, — a to właśnie jest momentem różnicującym obydwa typy pracy.

k. z.

MAKABRYCZNA KALKULACJĄ

W podjętej przez Gazetę Polską dyskusji nad sprawą drożyzny książki zabrał głos p. dr. Jan Piątek (G. P. z dn. 16.II br.). Z artykułu tego wyjmujemy poniższą cytatę, niezwykle interesującą ze względu na zawarty w niej pogląd, a jeszcze bardziej ze względu na użyte porównanie:

„Zapotrzebowanie książki nie zależy tylko od ceny, powiedziałbym nawet nietyle od ceny książki, ile od rozbudzonego czytelnictwa. *Jak obniżka cen trumien nie zwiększy ich sprzedaży, gdyż nigdy się ich nie sprzeda więcej, niż wynosi liczba umarłych tak samo zniżka cen nie wywoła pokupu książki ponad krąg czytających.* (podkreślenie nasze). Rozszerzyć ten krąg — oto droga do obniżenia ceny książki".

„Wiek żiwi wiek uczis'." — powiada rosyjskie przysłowie. Od dziesięciu z górą lat, doszedłszy do mniej więcej ustabilizowanej sytuacji materjalnej, systematycznie kupuję i gromadzę książki, a nigdy mi do głowy nie przyszło, że moją decyzją o tem, ile ze swych dochodów mam poświęcić na książki, oraz czy pożądanie względnie potrzeba tej książki odpowiadają jej cenie — kierują motywy identyczne z motywami nabywcy trumien. Pan dr. J. P. powołuje się w celu dodania wagi swoim argumentom, na to, że już dwadzieścia lat pracuje w księgarstwie. Ale okoliczność ta stanowi raczej pewien minus, gdyż pan dr. J. P. przez całe dwadzieścia lat napewno nie kupował książek i zatracił zrozumienie psychologji nabywcy. Otóż ja, na zasadzie swego dziesięcioletniego doświadczenia, jako nabywcy (w 99% bez rabatów i zniżek), chcę mu tą drogą wyjaśnić kilka zasadniczych bodźców, kierujących nabywcą książek w odróżnieniu od nabywcy trumien. To ostatnie robiłem wprawdzie tylko raz — ale to wystarczy.

Otóż nabywca trumny takową kupić musi, a nabywca książki — nie. Chyba, że chodzi o podręcznik naukowy, — w tej dziedzinie jest istotnie pewna analogja i po stronie nabywców i po stronie sprzedawców — przymusowa sytuacja pierwszych i wykorzystywanie jej przez drugich. Nabywca trumny jest przeważnie wstrząśnięty psychicznie i dlatego nie targuje się. Wybiera pogrzeb według dostępnej mu klasy. Jednak może on pójść do konkurencyjnego zakładu i uzyskać cenę niższą. Pozatem trumna trumnie nie równa. Jeśli zniżka ceny trumien nie wpływa na rozmiary ich zbytu, to jednak może spowodować znaczne przesunięcia w zbycie poszczególnych gatunków, co dla sprzedawcy nie jest obojętne. Ale skończmy narazie z trumną— i tak nas nie minie — a wróćmy do książki.

Szanowny autor uważa, że zniżka ceny nie wywoła pokupu ponad krąg czytających. Słusznie. Analfabeci nigdy nie będą kupowali książek. Rzecz jednak w tem, że tylko nikła część czytających książki kupuje je. Rozszerzenie odcinka kupujących w kręgu czytających jest możliwe przez zniżenie ceny i to *głównie* przez zniżenie ceny (albo przez wzrost zarobków). Czytanie książek może być koniecznością objektywną, rozrywką lub pasją. Kupowanie i gromadzenie książek jest przeważnie pasją posiadania, wynikającą z bardzo różnorodnych motywów. Każdy kupujący książki zaczyna to robić dopiero wtedy, jeżeli wie, lub jeżeli ma nadzieję, że może dojść do pokaźnej liczby. Kto może kupić tylko jedną książkę na rok, nie kupuje jej wcale. Jeżeli może to robić co miesiąc — to kupuje i gromadzi. Kupujący jest przeważnie czytającym i, jeżeli cena książki jest za wysoka, rezygnuje z *kupowania,* ale nie z *czytania.* Mogę Pana Dyrektora Związku Wydawców zapewnić, że ja i mnie podobni przeważnie cofamy się przed kupnem jednej książki za 10 złotych, przeważnie kupujemy dwie (równej wartości) za 12 złotych, i zawsze kupujemy trzy takie same za 15 złotych. Spadek ceny książki powoduje u nas pewien wzrost wydatków na książki, gdyż widzimy na naszych półkach wyraźny efekt. Dla informacji dodam jeszcze, że literaturę pamiętnikarską z okresu wielkiej wojny kupowałem stale w języku francuskim, nie władając nim zbyt dobrze, nawet wtedy, gdy były przekłady polskie, wyłącznie z tego względu, że przekłady te były z reguły droższe.

Oczywiście poza kwestją ceny o rozszerzeniu rynku zbytu książki decydują jeszcze inne czynniki, jak naprzykład kwestja mody posiadania własnych księgozbiorów. Książka jest tym towarem, który może być kupowany nie tylko dla właściwego przeznaczenia (to znaczy czytania), lecz dla dekoracji mieszkania lub zadowolenia snobizmu. To jest dziś ważny czynnik, zwiększający zbyt. Pozatem istnieje czynnik, zmniejszający zbyt — wynajem książek. Między ceną wynajmu i ceną kupna książki musi być określona relakcja.

Zreasumujmy: Książki można pożądać — trum-

ny nie. Trumnę trzeba kupić — książkę nie. Zbyt trumien w czasie kryzysu nie zmalał—książek tak. Złóżmy przeto do trumny argumenty Panów Wydawców, że zbyt książki mało zależy od jej ceny i chodźmy poszukać jakiejś „porządnej" książki w koszu na ulicy.

Z. sz.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. Piotra Laskauera, Warszawa, Marjensztadt 8.